№ 24. Warszawa, 13 (25) Lipca 1898 r. Rok XLVII.

KORESPONDENT
ROLNICZY, HANDLOWY i PRZEMYSŁOWY.

Wychodzi jako pismo dodatkowe bezpłatne przy „Gazecie Warszawskiej.“

Raptularz myśliwski.

Szczegóły o życiu Patrona myśliwych. — Cuda przy Jego grobie. — Ordery myśliwskie. — Obchód uroczystości Ś-go Huberta w Polsce za Augusta II-go. — Polowanie *par force* na jelenie we Francyi. — Wycieczka na ptactwo błotne. — Z jakim psem należy chodzić. — Strzał bez celowania nie czyni ze strzelca myśliwego. — Podziękowanie dla Bałazińskiego z Lisiegoohwostu. — Osobliwe przygody p. Prawdzickiego z Wymysłowa. — Wierzcie, bo światło pod korzec schowa.

Niedawno temu, zebrała się nas, braci myśliwych, spora garść w miejscu pewnem, a przy gawędzie o tem i owem, ktoś rzucił pytanie:

— A któż to był Ś-ty Hubert?

Każdy naturalnie wiedział, że to Patron myśliwych, lecz po za tem, nikt nie umiał objaśnić szczegółów z życia tego Świętego. Markotno mi się zrobiło, bo to przecież wstyd nie wiedzieć tego, co się wiedzieć powinno. Zgromiłem wcale ostro spółbiesiadników i podzieliłem się z nimi moją wiedzą, a co im opowiedziałem, tu powtarzam, sądzę bowiem, że się to przyda niejednemu, a w danym razie od wstydu go uchroni.

Ś-ty Hubert tedy był jedynym synem Bertranda i Phigberty. Ojciec jego, syn króla Tuluzy, Chariberta, żył za panowania Dagoberta. Za Klotara III go i następcy jego Teodoryka, znalazł się Hubert na wygnaniu, w otoczeniu księcia Pipina z Austrazyi. Już w młodości swojej był zapalonym myśliwym i w tym zapale swoim niepohamowanym: polował z równą zawziętością w dni powszednie, jak i w najuroczystsze święta. Milszy zaś był dla niego odgłos trąbki myśliwskiej w kniei, niż brzmienia dzwonów kościelnych, wzywających na nabożeństwo.

Będąc marszałkiem ks. Pipina z Heristalu, zapuścił się Hubert na łowy w knieje, w dzień Bożego Narodzenia. Gdy psy zaczęły gonić, a rogi myśliwskie dały hasło, że ruszyły zwierza, Hubert nagle ujrzał przed sobą jelenia, w którego rogach był uwikłany krzyż gorejący, a wraz z tem dał się słyszeć głos:

— Upamiętaj się Hubercie, jeśli nie chcesz być potępionym!

Przeląkł się Hubert, z konia zeskoczył, upadł na kolana i modląc się, zapytał:

— Panie, co mam czynić?

Na to usłyszał odpowiedź:

— Idź do Mastrychu, do biskupa Lamberta, a on cię uwiadomi, co masz uczynić.

Hubert niezwłocznie udał się do Mastrychu, gdzie idąc za radą biskupa Lamberta, do stanu duchownego wstąpił. Papież Sergiusz mianował go biskupem, a wkrótce potem Anioł doręczył mu stułę i powiedział, że będzie ona w jego ręku tem, czem była laska w ręku Mojżesza, t. j., że przy pomocy tej stuły, cuda czynić będzie.

Dnia 30 maja 727 r., Hubert zmarł jako biskup w Lüttich i zwłoki jego tamże, w kościele Ś-go Piotra pochowane zostały, w roku zaś 817 przeniesiono je do klasztoru w puszczy Andaine. Jonos, biskup orleański, opisuje rozmaite cuda, które się działy przy grobie Ś-go Huberta. Od niego dowiadujemy się, że pokąsani przez wściekłe zwierzęta, doznawali uzdrowienia, gdy przyklęknąwszy przy tym grobie, żegnając się, mówili te słowa:

— *Je vous donne répit au nom de Dieu de la Sainte Vierge et du bien heureux Saint Hubert.*

Kościół rzymsko-katolicki dnia 3-go listopada cześć oddaje świętemu Patronowi myśliwych. W dniu tym wszyscy myśliwi katolicy, zwłaszcza w Belgii i Francyi, wyruszają na łowy, chociażby pogoda niezupełnie temu celowi sprzyjała. Dla uczczenia Ś-go Huberta zawiązały się w Belgii, Francyi, Bawaryi, Włoszech, Czechach i t. p. liczne stowarzyszenia myśliwskie, a znani książęta wystawili wspaniałe zameczki w kniejach, pod nazwą „przystani Ś-go Huberta", przeznaczone wyłącznie na zjazdy myśliwskie.

Oprócz tego, ustanowiono ordery Ś-go Huberta, najstarszym zaś był utworzony w r. 1444 przez Gerharda, księcia panującego w Jülich i Bergu. Order ten przedstawiał się jako ośmiokanciasty, złoty krzyż, który z jednej strony, na tarczy, posiadał wyobrażenie zielono emaliowanego krzaku z jeleniem, niosącym pomiędzy rogami krzyż, i z klęczącym Ś-tym Hubertem. Dokoła tarczy widniał napis gotycki: *In Trau vast (in fide sta firmiter).* W XVIII-tym stuleciu, Reichsgraf Franciszek Sportz ustanowił słynny order Ś-go Huberta, którym przyozdobiony został król polski, August III-ci. Grzegorz-Wilhelm, książe Szląski, ostatni potomek z linii Piastów, także ustanowił order Ś-go Huberta w 1762 r. Ten, ze złotego zielono emaliowanego wieńca, w którym z jednej strony znajdował się jeleń złoty, a z drugiej złote, czerwono emaliowane serce z białym krzyżem, noszony był na zielonej, złotem przetkniętej wstędze, na szyi.

Wspaniale obchodził w Polsce dzień S-go Huberta August II; odbywały się wtedy łowy, które przez dni ośm trwały. Program układał sam król. Myśliwi i służba dworska występowali w strojach galowych. Dnia pierwszego, około 9-ej z rana, zgromadzała się świta przy zamku królewskim i w tym czasie wracali z kniei objezdnicy z doniesieniem, wiele i jakiego zwierza osaczyli. W miejscu stosownem, w pobliżu kniei, wystawiano namioty, a w nich stoły suto pozastawiane jadłem i napojem. Po przygotowaniu wszystkiego, monarcha z licznym orszakiem udawał się do namiotów, a to w tym porządku: Naprzód jechali strzelcy konno; za nimi prowadzili mastalerze konie królewskie i konie znaczniejszych dworzan; po tych jechali konno objezdnicy, z nimi psy na sforach; dalej postępowali *pieszo psiarczyki.* Z kolei przodował łowczy królewski, król w otoczeniu strzelców przybocznych, szambelanów i ministrów, wreszcie toczyły się karoce królowej i pań dworskich. Po śniadaniu w namiotach, rozpoczynały się łowy, gdy zaś te się skończyły, król bal w zamku wyprawiał.

Dnia następnego polowano z naganką; trzeciego odbywała się uroczystość dworska; czwartego szczwano dziki; piąty przepędzano według dyspozycyi króla jegomości; szóstego polowano z sieciami lub strachami; dzień siódmy—niedziela—był wypoczynkiem; ósmego odbywało się polowanie *par force.*

Co do ostatniego, pozwolę sobie cóskolwiek powiedzieć.

Otoż myśliwstwo, w nowoczesnem pojęciu tego wyrazu, niewątpliwie najwyżej dziś stoi w Niemczech, ale Niemcy zarzucili prawie zupełnie pierwowzory polowań, a mianowicie polowanie *par force*, tak, że jest ono dzisiaj jeno w Anglii i Francyi traktowane seryo, gdyż oderwanych wypadków forsowania zwierzyny w innych krajach nie można brać za miarę dzisiejszych upodobań łowieckich, które stanowczo przechyliły się ku polowaniom z bronią palną. Nie zamierzam bynajmniej rozstrzygać wyższości jednych polowań nad drugiemi, pragnę jedynie poznać czytelników z niknącem coraz bardziej prastarem polowaniem, jak je obecnie prowadzą myśliwi we Francyi, mianowicie zaś—z polowaniem *par force* na jelenia.

Mylne u nas panuje przekonanie, że we Francyi tylko króliki lub bażanty spotkać można. Nie brak tam i grubego zwierza, jelenie i dziki są w niektórych okolicach tak obfite, że w rolnictwie znaczne szkody wyrządzają. Jak wszędzie, tak i we Francyi, zwierz gruby trzyma się większych obszarów leśnych. Rozległe lasy rządowe Fontainebleau, Rambouillet, Loches, St. Aignan i t. p. ukrywają w swych gęstwinach znaczną ilość dzików i jeleni. Na dziki polują Francuzi z psami i ze strzelbą, tylko w niektórych okolicach utrzymał się dawny zwyczaj ich forsowania, a najsłynniejszą psiarnię forserów na dziki posiadał książe de Joinville. Za to na jeleni żaden gentelman nie poluje inaczej, jak forsując, a strzelanie

do tej zwierzyny uważa się prawie na równi z kłusownictwem. Tylko w niektórych razach można odstrzeliwać łanie, co znów według naszej etyki myśliwskiej wydaje się niemal zbrodnią. Ale co kraj— to obyczaj, zatem i we Francyi łanie strzelać wolno, a byków—broń Boże. Myśliwy francuski może je tylko forsować.

Knieje we Francyi pod względem obszaru są niewielkie, lecz za to nadzwyczaj gęste. Składa je przeważnie nizkopienna dębina, odrastająca z korzenia, więc bardzo od samej ziemi rozgałęziona i w dodatku podszyta nadzwyczaj wyniosłym wzrosem, żarnowcem i poplątana wijącą się roślinnością, a to tworzy gąszcz tak zwarty, że gdy się tam do środka za postrzelonym zwierzem dostaniemy, niezmiernie trudno się wyplątać i ta okoliczność ratuje Francyę pod względem myśliwskim. Gdyby nie te gąszcze, Francya miałaby grubszego zwierza nadzwyczaj mało, a nadto nie możnaby tam było polować z psami z powodu małej rozciągłości lasów.

Pod względem obszaru do polowania *par force*, Francya przedstawia się jako powierzchnia falista, coś w rodzaju Podola, gdzie większe powierzchnie równinowe poprzerzynane są parowami lub dolinami większych rzek. Teren to niezbyt dla polowań *par force* odpowiedni, lecz należy zwrócić uwagę, że Francuzi, goniąc zwierza, korzystają z nieskończonego mnóstwa dróg i szos, przerzynających kraj we wszystkich kierunkach i tylko niekiedy jadą polem, choćby nawet suchem, gdyż tego prawo francuskie nie wzbrania.

Poznawszy knieje i rodzaj gruntów francuskich, przechodzimy do samych polowań. Po całej Francyi są rozsiane t. z. „ekwipaże“ myśliwskie, składające się przedewszystkiem z kilkudziesięciu psów-forserów, doskonale ułożonych i specyalnie zaprawionych do ścigania jeleni-byków (bo dobre psy nigdy za łanią nie pójdą). Najwięcej do tego celu używają Francuzi psy zwane *bâtards francais* — mieszańców francuskich gończych z angielskiemi *fox-houndami*. Są to psy rosłe, pięknie zbudowane, kłapouche, maści białej, z czarnemi łatami i podpaleniami; głos mają gruby i dają go często.

Najważniejszą osobistością w całym ekwipażu myśliwskim jest *piquer*, na nim bowiem spoczywają wszystkie nadzieje myśliwych, on to winien zwierza wyszukać i otropić; on prowadzi całe polowanie, co nie jest rzeczą łatwą, raz dlatego, że naprz. przy silnym wietrze i szumie w lesie łatwo można psy zgubić, — a powtóre, że psy mogą chwycić inny trop, a sromota dla myśliwca francuskiego jest wziąć innego zwierza, niż tego, którego się w początku polowania ruszyło. Dobry *piquer* powinien w każdej chwili *wiedzieć*, że to jego jelenia psy gonią. Często się też zdarza, że psy na dwie partye się rozbiją, a to niezmiernie bałamuci myśliwych; również, że część psów mniej szybkich pozostaje w tyle o wiorstę drogi lub więcej, a wtedy psy przodowce (*les chiens de tête*) przepaść mogą. Wszystkie te okoliczności wymagają wielkiej wprawy ze strony łowczego i dlatego każdy ekwipaż myśliwski stara się o jak najlepszego *piquer'a*. Ma on do pomocy jednego lub kilku psiarków, stosownie do wielkości psiarni. Wszyscy są zaopatrzeni w wielkie, skręcone trąby (*les cors*), na których częste dają sygnały, aby myśliwi mogli wiedzieć, co się dzieje i w jakim kierunku jechać potrzeba.

Łowy odbywają się w porządku następującym: *Piquer* na dzień oznaczony powinien „przygotować“ t. j. mieć otropionego jelenia; wszystko jedno, czy to będzie śpiczak, czy duży jeleń, byle nie łania. W tym celu już na kilka dni przedtem go obchodzi i ciągle ma na niego baczenie. W dzień polowania o świcie, obcina go przy pomocy psa tropowca (*limier*). Musi to być pies doświadczony, najlepszy z psiarni. Kniejus ma go na smyczy i z nim obchodzi las drogami lub alejami. Gdzie tylko zwierz jaki drogę przeciął, pies zaczyna w tem miejscu się ściągać, a po sposobie ściągania, *piquer* odgaduje, jaki zwierz przeciął aleję, a jeśli nie odgadnie, stara się trop na ścieżce lub drodze odszukać i z niego wyczytuje, co mu potrzeba. A trzeba dodać, że dobry *piquer* nigdy się nie omyli. Chwyciwszy trop jelenia, obcina go, co Francuzi nazywają *rembucher l'animal.*

Myśliwi tymczasem przybywają na punkt zborny — w czerwonych frakach, okrągłych, aksamitnych dżokejkach, w białych pantalonach i w butach ze sztylpami; niektórzy mają trąby przez ramię. Są również między nimi damy. Wygodnisie przybywają w powozach, koczach, dwukołowych tilbury i t. p. Wreszcie zjawia się *piquer*, oznajmiając, że jeleń otropiony. Wszyscy ruszają do oznaczonego miotu, gdzie naprzód puszczają tylko kilku najlepszych psów; dopiero gdy ruszony zwierz przesadzi pierwszą aleję, lub drogę, wtedy na tropy puszcza się reszta psiarni, rezerwując kilku na zmianę.

I oto zahuczał las od ujadania psów, zwierz ruszony—wszystko za nim zdąża. Ponieważ zwierzyna ma zwykle jedne i te same przesmyki i ścieżyny, któremi chodzi, więc kierownicy polowania starają się dostać zawczasu na te aleje i tam czekają. Zwierz jednak nie zawsze miot w początku polowania opuszcza, często kilkakrotnie go obłoży i wtedy dopiero przybiera pewien określony kierunek, zawsze prawie znany myśliwym. Najprzyjemniej poluje się wtedy, gdy jeleń z lasu w pole się wysforuje, zmierzając do innego lasu, bo wtedy całe polowanie jak na dłoni oglądać można. Myśliwi starają się jechać ścieżkami, lecz jeśli im to znacznie drogę wydłuża, wtedy pędzą polem, a to ich zmusza do przesadzania licznych przeszkód.

Polowanie trwa różnie: kilka godzin, a czasami i dzień cały; zależy to od zwierza. Rozmaitą też naturalnie przestrzeń myśliwi, ścigając zwierza, przebywają. Historycznem stało się polowanie w okolicach Tours, gdzie ziomek nasz, Stanisław Rembieliński, ruszywszy jelenia w Montrézor, wziął go dopiero w Loarze, o 70 kilometrów odległości od miejsca wyruszenia.

Jeleń sforsowany ucieka zwykle do wody: rzeki, stawu, lub nawet większej kałuży. Tu się zjeżdżają myśliwi i jeden z nich zabija zwierza (*servir l'animal*). Jeśli tego dokonywa kordelasem, mówią: *servir au couteau*; jeśli z karabinu — *servir à la carabine.* Honor tego czynu powierza się temu z myśliwych, który się na polowaniu wyróżni.

Nie należy sądzić, iżby polowanie *par force* było zawsze bezpieczne, zdarza się bowiem, że przyparty do ostateczności jeleń rzuca się na myśliwych i nieraz konie lub nawet sami myśliwi życiem lub kalectwem przypłacają odwagę.

W podobny sposób Francuzi forsują sarny, dziki, a nawet zające. Najtrudniejszym do sforsowania jest kozieł, a to dlatego, że idzie stosunkowo bardzo wolno, kluczy i często pod trop wraca (*il double la voie*), czem utrudnia psom pogoń. Dawniej forsowano we Francyi wilki, ale obenie podobno tylko jeden ekwipaż na wilki istnieje.

Po nużącem polowaniu francuskiem, wyciągnę miłych towarzyszów na ptactwo błotne u nas. Ale weźmy dobrze ułożonego psa, bo bez tego za nic uciecha. O ile na przepiórki lub kuropatwy dobry jest pies zagonny, t. j. taki, który na 500 kroków składa w pełnym galopie, zwietrzywszy zaś, zaczyna chodzić powoli, machając energicznie ogonem, a w końcu ogląda się za panem i czeka jego przybycia: o tyle na ptactwo błotne trzeba psa, który chodzi wolno, od nogi się nie oddala i lubi teren mokry. Taki pies lepiej się nadaje, bo zagonny, pędząc po mokrej, pełnej wody łące, bryzga nią, chlapie głośno i płoszy krzyki na daleki dystans. Pies dobrze ułożony na błotach chodzi wolno, ostrożnie i jest w ciągłym kontakcie ze swym panem. Wie, że na mokrym terenie myśliwy nie może tak szybko podbiedz do niego jak na polach, gdzie są kuropatwy i przepiórki.

Pies, wietrzący za ptactwem błotnem, ma bardzo lekką pracę. Przedewszystkiem tam, gdzie to ptactwo bywa, znajduje się ono w wielkiej ilości. Jeśli zwęszy jedną sztukę, to napewno liczyć można, że będzie ich więcej. Śledząc kuropatwę lub przepiórkę, trzeba omijać ściernie, bez zatrzymywania się, natomiast przeszukiwać kartofle, kawałeczki prosa i t. p. Na błotach zaś co krok może być dubelt lub krzyk. Przytem ptactwo błotne ma nierównie silniejszy wiatr, a zwłaszcza dubelt. Tego lada psisko zwietrzy—ale chodzi o to, by umiał go wystawić i skacząc, nie płoszył.

Co to za przyjemność napotkać dubelty, które często na łąkę całemi masami zapadnął Pies spokojny, co chwila ściąga się już zdaleka, a myśliwy śpieszyć się musi z wyjmowaniem pustych a nakładaniem pełnych nabojów. Do dubelta strzał łatwy, bo ten największy z ptaków błotnych ma lot ciężki i równy; zygzaków nie robi, lecz ciągnie, jak przepiórka. Ale trzeba pamiętać, że jeśli te ptaki gromadnie na łąkę zapadną, to siedzą twardo, a często jeśli trawa w tem miejscu wysoka — uciekają na piechotę. Najzabawniejszym jest wtedy bekas, gdyż pomimo swego dość barwnego upierzenia, tak zręcznie się w trawie przytai, że często myśliwy podchodzi do psa, który twardo stoi i popychając go nogą, rozgląda się, coby to być mogło, gdy naraz tuż z pod nóg jego wyrywa się ptak, a skrzeknąwszy swoje „ih!“ uchodzi bez strzału.

Na łąkach nasiąkniętych rdzawką nie szukajcie ptactwa, bo jeno bocian tam zagląda i to niechętnie. Natomiast na łąkach, które ulegają zalewom, gdzie się namuły zostają, tam ptactwo błotne przebywać lubi. Dubelty wolą teren suchszy, byle miały tu i owdzie jakieś źródliska. Spotyka się dubeltów i na błotach, lecz przenoszą mniej mokre łąki, nie jak kszyki, które lubią brodzić po wodzie i chlupać się w niej.

Idący na ptactwo błotne powinien dobrze strzelać i mieć zimną krew. Trzeba pamiętać, że ptaki zrywają się blizko i nigdy daleko nie ciągną, że zaś strzela się do nich drobnym szrótem, więc przypuszczać można, że w odległości 25 — 30-tu kroków średnica strzału 1 metrowa jest tak gęsta, że nawet mały czarnodziób, bekas, musi być trafiony. Więc trochę wypuścić go. A chociaż się zdaje, że bardzo szybko leci, strzał go z pewnością dopędzi.

Zwłaszcza polowanie na kszyka wymaga spokoju. Zygzak tego ptaka, jego kierowanie lotu ciągle pod ostrym kątem niecier-

pliwi i denerwuje. Dowiedzioną jest rzeczą, że strzał w trzecim zygzaku jest pewniejszy od strzału w pierwszej chwili wzlotu ptaka, gdyż zrywa się nader szybko, a zapada powoli i zygzakując, nie oddala się zbytnio. Są wprawdzie myśliwi, którzy nie celując, strzelają do kszyka i spuszczają go o zakład z całą precyzyą. Ale do tego dojść można wielką wprawą. Ci jednak myśliwi w kniei zwykle pudłują, bo przyzwyczajeni do nie celowania, nie umieją brać zwierza na muszkę, wytrzymać dobrze i chybiają strzelając grubym szrutem, który, naturalnie, tak gęsto jak drobny nie trafia. Okazuje się tedy, że wprawa w strzelaniu ptaków w lot nie czyni strzelca myśliwym w całem znaczeniu, bo zdaje się egzamin i zdobywa miano myśliwego tylko w kniei.

Tyle niech będzie na dziś dosyć dla pożytku braci w Ś-tym Hubercie, dla uciechy zaś, nie mając pod ręką poczciwego Bałazińskiego, który aż gdzieś na Wołyń do Lisiegochwostu powędrował (skąd do mnie serdeczny list napisał, na ręce redaktora „Gazety Warszawskiej", za co mu również dziękuję i przy sposobności o pamięć proszę i życzliwość), dla uciechy tedy przytoczę relacyę wielce osobliwych przygód myśliwskich, którą mi łaskawie nadesłał dobry mój kamrat, imść pan Prawdzicki z Wymysłowa.

W wędrówkach moich, kochany Herburcie — pisze on — zawsze się dzielnych kompanów trzymam, takich, którzy otworzystą, nieograniczoną knieją należycie ocenić umieją. Do takich należy Rotmistrz, mąż ponsowej twarzy, ze szpakowatym wąsem, który ongi w rozprawie z Turkami górną część czaszki utracił i dlatego trzyma zawsze kapelusz na głowie. Strzela po mistrzowsku, ale też pije... po arcy mistrzowsku! Długo nie umiałem sobie wytłómaczyć jego wytrzymałości na trunki, aż nareszcie tę ważną zagadkę rozwiązałem. Rotmistrz pijąc, od czasu do czasu kapelusza uchyla. Z początku nic w tem złego nie widziałem—czoło mu się zapociło, to rzecz przy kielichu musowa. Razu pewnego zauważyłem, że wraz z kapeluszem podnosi się srebrna pokrywa, która mu czaszkę zastępuje i wtedy wszystek wyziew pochłoniętego przezeń trunku lekkim obłokiem do góry się wznosi... Mam cię! pomyślałem i postanowiłem figla poczciwcowi wypłatać. Stanąłem z fajką za jego krzesłem i w chwili kiedy kapelusz podniósł, zapaliłem fidibusem unoszący się z jego głowy wyziew, który zapłonął prześlicznem światłem błękitnem, otaczając głowę Rotmistrza jakby aureolą. On to spostrzegł, ale nie myślał się obrażać, pozwolił nawet doświadczenie kilkakrotnie powtórzyć.

Nazajutrz z okna mego sypialnego pokoju ujrzałem na stawie mnóstwo kaczek dzikich. Chwytam strzelbę, pędzę po schodach tak zaciekle, że nosem o drzwi uderzam... Iskry sypnęły mi się z oczu, ale to mnie nie wstrzymało. Zbliżam się na strzał, lecz ku wielkiemu zmartwieniu spostrzegam, że podczas przeklętego uderzenia skałka z kurka mi wypadła... Co tu robić... Naraz, przypomniawszy sobie, co przed chwilą z memi oczyma się stało, otwieram panewkę, walę się w jedno oko. Od silnego razu sypnęły się iskry— strzelba puściła i ubiła 5 par dzikich kaczek, 4 łasice i parę cyranek. Tak to przytomność umysłu bywa duszą wielkich czynów.

Innym razem, spostrzegłem na jeziorze kilkadziesiąt kaczek, lecz nadto od siebie rozrzuconych, by można było strzałem więcej niż jedną ubić. A zresztą miałem w rurce jeden tylko nabój. Zafrasowany, odnajduję w torbie kawałek sadła,—resztkę z niedojedzonego śniadania. Chwytam sadło, przywiązuje do długiego stryczka, z psa zdjętego, rozkręcam go, przedłużając bardzo znacznie i ukrywszy się w sitowiu, zarzucam tę zaimprowizowaną wędkę. Najbliższa kaczka przypłynęła i ponęte połknęła, za nią uczyniła to samo druga, dziesiąta, trzydziesta... Jakim sposobem? Bo sadło ślizgie tyłem ptaków wychodziło. Koniec końców, nadziały się wszystkie kaczki na wędę, niby perły na sznur. Gdy ostatnie już się nadziały, przyciągnąłem wędę do brzegu, okręciłem dokoła siebie i śpieszę do domu. Ale kaczek było takie mnóstwo, że mi kaducznie ciężyły. Na szczęście były żywe i ochłonąwszy z przerażenia, zaczęły bić skrzydłami, podleciały i mnie z sobą uniosły. Kto inny nie umiałby sobie poradzić, lecz ja przecież zuch — więc wiosłować począłem połami surduta ku domowi. Znalazłszy się nad kominem, zahaczyłem się o niego, stanąłem na dachu i ostróżnie kaczkę po kaczce z wędy zsuwając, rzucałem przez komin do kuchni, na szczęście również bez ognia. Kucharz widząc deszcz kaczek, spadający z komina, struchlał i żegnać się począł, ale uspokoiłem go, tłómacząc, co zaszło.

Podobne zdarzenie miałem z kuropatwami. Wyszedłem, aby strzelbę wyprobować i właśnie wszystek szrut wystrzelałem, gdy zrywa się stado kuropatw. Nie tracąc przytomności, nabijam strzelbę i zamiast szrutu, stępel wpycham, zaostrzywszy go z pośpiechem, a potem skradam się tam, gdzie ptactwo zapadło, płoszę je, spłoszone strzelam i z radością widzę, że stępel z siedmioma nadzianemi sztukami spada powoli na ziemię...

Innym znów razem przeszedł mi drogę czarny lis. Szkoda byłoby przedziurawić kulą tak piękne futro, tedy wsadzam do lufy długi bretnal, palę tak szczęśliwie, że kitę lisa do drzewa przygważdżam... Potem zbliżam się do niego, przerzynam mu mordę na krzyż i korbasuje go po skórze tak długo, aż się z niej wymknął...

Przypadek szczęśliwy często uchybienia człowieka naprawia. Tak było i ze mną, kiedy raz w gąszczu spostrzegłem, że maciora tuż za warchlakiem śpieszyła. Strzelam i pudłuję, warchlak jednak poszłapał naprzód, maciora zaś stanęła i z miejsca się nie rusza... Okazało się, że będąc ślepą, trzymała w pysku ogon warchlaka, który ją z przywiązania synowskiego wodził. Kula moja środkiem między obojgem zwierząt przeleciała, zrywając wodze, alias ogon, którego koniuszek maciora w pysku żuła, a ponieważ przewodnik ślepuchy dalej nie prowadził, więc stać musiała. Schwyciłem zatem pozostały koniec ogona warchlaka i na nim stare, opuszczone zwierzę bez oporu do domu zaprowadziłem.

Kolega Prawdzicki przyrzekł mi dalszy ciąg relacyj nadesłać, a ja naturalnie z wami, czytelnicy, się nią podzielę. Jeno nie wyrażajcie wątpliwości, co do ich autentyki, bo Prawdzicki drażliwy, gotów niedowierzanie do serca wziąć i światło pod korzec schować.

Herbur Trzaska, ze Ślepkowa.

Wpływ kamieni na urodzajność roli.

Oprócz kamieni, znajdujących się na powierzchni roli, znajdują się kamienie pomieszane z drobnemi częściami ziemi i te wywierają wpływ na rośliny w roli rosnące. Profesor dr. Wollny z Monachium, badacz przyrody, zadał sobie pracę zbadania tego wpływu.

Badania prof. Wollny'ego rozciągały się na temperaturę, stan wilgoci i stosunki produkcyjne roli. Skutek temperatury w roli, składającej się z humusu, piasku diluwialnego, nasyconego wapnem, w głębokości 15 cm. okazywał, że w czasie wegetacyjnym średnia temperatura ziemi powiększa się w stosunku do tego, im więcej jest kamienistą. Ze wzmagającą się temperaturą powietrza, rośnie ciepło w roli, a gdy temperatura powietrza się obniża, staje się rola o tyle zimniejszą, o ile więcej jest w niej kamieni; wpływ ten okazuje się zwykle wieczorem, albowiem rola kamienistsza jest znacznie cieplejszą od roli bez kamieni, a różnica ciepłoty wieczorem o wiele jest większą niż nad ranem, przyczem wielki wpływ na te różnice wywiera kolor roli: jasny czy ciemny. Jaśniej zabarwione kamienie, np. wapienne, nie wywierają na tę zmianę temperatury takiego wpływu, jak ciemniejsze kamienie bazaltowe, będące lepszemi przewodnikami ciepła. Wpływ kamieni na stan ciepła w roli zmniejsza się w miarę ubytku tegoż, a rola nabiera większej jednolitości.

Najrozmaitsze badania, w ostatnim czasie wykonane, jak Haberlandta, wykazały, że wszelkie kamienie są o wiele lepszemi przewodnikami ciepła niż sypka ziemi; otrzymane z temperatury ciepło lepiej się rozszerzy i na wewnątrz ją ociepli w roli kamienistej, niż w roli bez kamieni, to też oziębienie w roli kamienistej bywa znów szybszem.

Badania nad wpływem, jaki wilgoć wywiera na rolę kamienistą i niekamienistą, przedsiębrano w ten sposób, że użyto do nich tak zwanych lisimetrów, mających wysokości 30 cm., a dających kwadratowe przecięcie = 400 cm. kwadratowych. Postawiano je na wolnem powietrzu z osłoniętemi bokami i co tydzień ważono. Ponieważ waga suchej objętości ziemi, poddanej badaniu, była znaną, można było obliczyć absolutną zawartość wilgoci przez te 8 dni nabytej. Z tego badania okazało się, że zawartość wody w roli kamienistej jest mniejszą, niż w roli bez kamieni. Wpływ ten kamieni na wilgoć ziemi można sobie uprzytomnić tą okolicznością, że objętość, jaką mają kamienie, nie pozwala na powiększenie się objętości wody. Parowanie ziemi w peryodzie słotnym jest o tyle większem, a w peryodzie suszy o tyle mniejszem, im większą jest zawartość kamieni w roli. Łatwo to pojąć, gdy się bierze na uwagę, że wsiąkanie wody w rolę o tyle więcej jest utrudnionem, o ile więcej jest w niej kamieni; woda zatem zatrzymuje się w wyższej warstwie roli i zamienia się w parę.

Jeśli nastąpi peryod suszy, to kamienie wstrzymują znów parowanie wilgoci ku powierzchni ziemi i to powolne parowanie jest korzystnem dla rozwoju roślin. Kamienie w roli zawarte ułatwiają zatem w czasie suszy wegetacyę roślin.

Objaw ten streszcza się w ten sposób, że w ogóle procentowa zawartość wody w ziemi pomiędzy kamieniami zwiększa się z ilością tychże, a w ziemi kamienistej jest większą, niż w roli bez kamieni.

Celem dokonania prób, w jakiej mierze wpływają kamienie na siłę rozwoju roślin, urządzono ramy drewniane, objętości metra kwadratowego na podstawie zwirowatej, na polu doświadczalnem. Spód

na głębokość 25 cm. był przepuszczalny. Ziemi, do próby pod zasiew roślin przeznaczonej, dodano sztucznych nawozów i zasiano jarkę, bób, len, kartofle i buraki. Z odbytych prób okazało się: że w ogóle urodzajność roli wzrasta w miarę większej w niej obfitości kamieni do pewnego stopnia, po za który jednakże maleje.

Kamienie w roli powstrzymują w czasie suszy parowanie roli, a jednocześnie podnoszą jej temperaturę, zatem wywierają skutek dodatni. Na tak zwanych zimnych rolach mają ten wpływ, że przyczyniają się do ocieplenia roli. Zbyt sypkiej roli dają większą ścisłość podczas gdy na cieżkich rolach zmniejszają ich ścisłość i przyczyniają się do ich sprawności. Na rolach, mających wielkie spadki, powstrzymują spływ delikatnych części ziemi ornej, a na spadkach północnych ochraniają rośliny przed wiatrami i przymrózkami.

Jeżeli jednak stosunek kamieni w roli jest zbyt wielki, to wtedy wywierają one wpływ niekorzystny na rośliny, nietylko przez to, że im ograniczają zasób wilgoci, ale także przez to, że pokrywając znaczną część powierzchni roli, zawadzają roślinom, utrudniają ich kiełkowanie, bo niejedno ziarno z pod nich się wydobyć nie może, przez co siew staje się rzadkim i nie daje odpowiedniego żniwa. Jeżeli w roli wiecej jest niż 20% kamieni, to i sprzęt jest o tyle niekorzystnym, że rośliny po nad niemi winny być cięte, co stanowi ubytek w słomie.

Skutkiem tych wszystkich doświadczeń, otrzymujemy wynik taki, że małe, drobne kamienie wpływają korzystnie na urodzajność roli, wielkie zaś, po nad powierzchnią roli sterczące, koniecznie z niej usuwać należy.

List ze wsi.

Gub. Wołyńska.

Notując w dalszym ciągu dawniejsze ceny ziemi, zaznaczyć muszę, że w pierwszej połowie XVIII stulecia, w kraju Południowo-Zachodnim, a głównie w gub. Kijowskiej istniał zwyczaj, że gdzie kto zaczął orać lub kosić, ten stawał się właścicielem tego kawałka ziemi, która w miejscowościach stepowych właściwie żadnej ceny nie miała, bo jeżeli, jak świadczą ówczesne kontrakty, można było wymienić kawałek lasu za pług, albo chatę z ogrodem zamienić na konia, to ceny takie do bajecznych zaliczyć wypada.

W późniejszych czasach, majątki ziemskie miały już pewną normalną cenę, ale na tę ostatnią nietyle wpływały urodzajność gleby, obfitość lasów, dobroć budynków, lecz tylko większa lub mniejsza liczba poddanych. Nikt nie mówił, że majątek składa się z tylu a tylu włók, ale że posiada taką liczbę «dusz» męskich, to też w aktach kupna na pierwszym planie stoją owe «dusze». Jeżeli majątek posiadał 300 dusz męskich, to wartość jego przedstawiała sumę 45,000 rs. We wsi takiej było, mniej więcej, sto osad; przypuściwszy, że każda obejmowała 20 morgów, cała więc przestrzeń, będąca w posiadaniu włościan, wynosiła 2,000 morgów, a przy takim stosunku dwór posiadał jeżeli nie tyle, to więcej, i wypadnie że składał się ze 150 włók, czyli, że cena jednej włóki nie przewyższała 300 rs. Jeszcze w latach 1830 i 1845 można było nabyć parobka za 100 rs., a dziewkę za 30 rs., jak również można było i jednego i drugą wygrać w karty, dostać w posagu i t. d. To tylko możemy dodać, że tacy handlarze należeli do wyjątków, i takie frymarczenie ludźmi, pomimo zwyczaju, nie cieszyło się uznaniem myślącego ogółu; to też zwykle byli to bankruci, gracze i ludzie wątpliwych zasad.

Z biegiem czasu, ceny ziemi znacznie się podnosiły i o cenie 900 rs. za włókę dobrej ziemi nie ma nawet mowy, nie tylko w gubernii Kijowskiej i Podolskiej, ale nawet w gub. Wołyńskiej. Po usamowolnieniu włościan, kiedy nastąpił ogólny ekonomiczny przewrót w kraju, ceny dzierżaw nie były stosunkowo nizkie, płacono za mórg pola ornego 1 rub., łąki 50 kop., a dziś 5 rub. za mórg bynajmniej do osobliwości nie należy.

W wielu majątkach osiedlali się czynszownicy, drobna szlachta i koloniści Niemcy.

Nie ulega wątpliwości, że kraj Południowo-Zachodni produkował przed laty, jeżeli nie więcej zboża, to w każdym razie nie mniej. Gleba była więcej urodzajna, nie wyniszczona, plantacye buraków nie istniały, to też niezmierzone okiem łany zasiewano pszenicą i żytem, i kolosalną ilość tego ziarna wywożono z jednej strony na południe do Odesy, z drugiej na Zachód do Uściługa, zkąd zboże to galarami dostawało się do Gdańska i dalej.

Dowozem pszenicy trudnili się tak zwani „czumacy“, którzy łączyli się w partye, składające się z kilkudziesięciu par wołów.

Każdy zabierał po 80 pudów pszenicy i wlókł się stepami dzień i noc. Podróż taka zajmowała kilka tygodni i więcej, a za taką dostawę płaciło się 10 kop. od puda; na owe czasy był to dla czumaka zarobek świetny.

Przed laty czterdziestu, kiedy nietylko dróg żelaznych, ale nawet jedynej bitej nie było, chłop najęty do Kijowa o mil dwadzieścia, tam i z powrotem, brał zwykle za milę po 15 kop., czyli 3 rs. dziennie. Dziś za blizki kurs kilkuwiorstowy chłop żąda rubla, a sąsiednie stacye kolejowe stanowią taką przynętę, że widzimy tam mnóstwo wozów, stojących bezczynnie, chociaż nawet jest pilna robota w polu.

Przewozem innych towarów trudnili się Żydzi. Dowozili oni to wszystko, co kraj potrzebował, do pewnych centrów handlowych, a przytem zabierali podróżnych, którym o pośpiech nie chodziło. To też była to podróż „noga za nogą“, a kiedy wypadła zła droga, podróżni musieli iść pieszo obok bryki, od czasu do czasu zapytując: wieleśmy już «ujechali».?

Typ dawnych bałagułów, jakkolwiek znikł, to jednak zdarza się widzieć dziś jeszcze furmanów Żydów, którzy po drogach bocznych kursują, lub dowożą towary do stacyi kolejowych.

Po wybudowaniu drogi żelaznej z Odesy do Kijowa i z tego miasta przez Koziatyn wzdłuż całej gub. Wołyńskiej, «czumacy» znikli zupełnie, tak, że tradycya tylko o nich pozostała, a mnóstwo pieśni czumackich, przygód, i rozmaite legendy lud do dzisiejszego dnia powtarza.

Z biegiem lat, wszystko uległo zmianie. Zmieniły się i ceny, zmienili się i ludzie, a co najważniejsze, że szeregi tych, co te czasy pamiętają, przerzedzają się coraz bardziej.

M. Garczyńska.

Zapobieganie warzeniu się mleka chudego (odtłuszczonego).

Dr. Tiedeman, kierownik zakładu mleczarskiego we Wrześni, donosi, że często odbiera zapytania, jakby zapobiedz można zsiadaniu się i warzeniu mleka chudego, odchodzącego z centryfugi przy przegotowaniu. W tym roku, z powodu braku lodu, na jaki mleczarnie cierpią, często się to zdarzyć może. Pożądanemi więc będą poniższe rady, mające na celu dłuższe przechowanie chudego mleka w stanie słodkim. Aby cel ten osiągnąć, starać się przede wszystkiem należy o czystość odchodzącego z centryfugi chudego mleka. Należy zatem baczyć, aby wymiona krów były czysto wymyte i zawsze wiechciem słomianym wytarte, aby w czasie dojenia nie wpadały do szkopka w mleko jakiekolwiek nieczystości, jak włosy, łupież, powalana gnojem słoma i t. p., z któremi to nieczystościami dostają się jednocześnie do mleka niezliczone ilości bakteryj, wpływających na szybki rozkład mleka, a w następstwie kwaśnienia i ścinania się tegoż. Konieczną jest zatem skrupulatna czystość naczyń od mleka, które przed użyciem, wodą ze sodą wymyte, dobrze wyparzone, a następnie czystą zimną wodą wypłókane być winny. Przedewszystkiem atoli mleko, po wydojeniu, musi być dokładnie wychłodzone. Mleko wstawia się w tym celu w zimną wodę, a woda, używana do chłodzenia, nie może mieć więcej jak 8—10 C., i musi być często zmienianą. Nadmienia się tu, że w czasie gdy mleko stoi w zimnej wodzie, nie należy naczyń z mlekiem przykrywać, aby przeszkodzić gęstnieniu mleka, spowodowanego działaniem bakteryj anaerobowych. Gdzie niema urządzeń do chłodzenia, co już dziś zapewne do wyjątków należeć będzie, powinno stać mleko, jeżeli nie może być zaraz odstawione do mleczarni, koniecznie w chłodnem i przewiewnem miejscu, aż do odstawienia go do mleczarni. W czasie odstawy, powinno być mleko przykryte mokrem płótnem, aby je ochronić przed wpływem promieni słonecznych. W ten sam sposób należy się obchodzić z chudem mlekiem, przy odwożeniu go z mleczarni do domu. Chude mleko na paszę, z którem się tak obchodzono, zniesie następnie dobrze późniejsze przegotowanie i nie zwarzy się; korzystniej jest jednakże kazać zaraz pasteuryzować chude mleko w mleczarni i już pasteuryzowane przywozić do domu. Zachowanie powyższych reguł powinno leżeć w interesie wszystkich członków spółek mleczarskich, aby ponosić jak najmniej strat przez niekorzystne wyzyskanie produktów nabiałowych.

Druk „Gazety Warszawskiej“ (Rubieszewski i Wrotnowski) Nowy-Świat 34.—Дозволено Цензурою.—Варшава, 11 Іюля 1898 г.